

Koszyki baśni

**Wyznania szczerego
entuzjasty teatru**
PAWEŁ GŁOWACKI

Wepilogu „Brzydkiego kaczątka” Beaty Pejcz labędzie, które przylatują, by Brzydkiemu odkryć prawdę o pięknie, mają skrzydła ulepione z rękopisów Hansa Christiana Andersena. Białe stronice całe w pochylonych, czarnych literach. Niby realny kurz miasta na piórach prawdziwych, ale w istocie i bez wątpliwości – atrament na kartkach. Taka tu jest kolejność rzeczy. Najpierw fikcja – później prawda. O ile ktoś się uprze, że naskórkowe prawki świata w ogóle są w teatrze komukolwiek do czegokolwiek potrzebne.

Gdyby było inaczej, gdyby skrzydła labędzi do złudzenia przypominały skrzydła z życia wzięte – byłby duży teatralny błąd. Coś by się fatalnie nie zgadzało. Zgrzytała by opowieść. Gdyby akurat w tym „Brzydkim kaczątku” skrzydła kropka w kropkę udawały dzieło Najwyższego – trzeba byłoby uznać, że baśń kłamie w żywe oczy. Prawda ulicy jako fiasko teatru? Tak.

Gdyby finałowe skrzydła nie były skrzydłami jawnie napisanymi, zgruchotany zostałby zasadniczy nerw „Brzydkiego kaczątka” Pejcz – nerw nieukrywanej iluzji. Owszem, w teatrze Groteska prawie zawsze nikt nie udaje, że takie smoki, takie lasy, takie cuda naprawdę istnieją, ale o ile inni dla wrażeń realizm scenograficzny gigantomania, o tyle Pejcz idzie w pyszny minimalizm. Ukazuje wnętrze brzucha fikcji, odkrywa konstrukcje znaków teatralnych, zdradza sekrety scenicznych metafor. I to jest jej opowieść. To też jest sedno zawrotnie prostej, czystej scenografii Pawła Pawlaka.

Na końcu są napisane skrzydła, bo tu od początku nikt nie udaje, że nie udaje. Od początku z tyłu sceny tkwią białe drzwi. Domownicy – może kucharka, może służba,

może kamerdyner – co kilka chwil nasłuchują, czy pan Andersen wciąż jeszcze pisze nową baśń. Spierają się, wrzeszczą, milczą. Może już skończył? A może nie wie, co dalej?... Nagle drzwi opowieści uchylają się same z siebie – i z baśniowej czeluści wyjeżdżają kolejne koszyki baśni. W nich – kolejne, już uciełnione, ale jeszcze niewidoczne napisane fragmenty, niczym puzzle do złożenia. Mówię: kolejne, bo przez godzinę przedstawienia drzwi baśni uchyla się pięć, siedem albo dziewięć razy.

Pejcz chce, by dzieci i starcy na widowini ani na mgnienie nie zapomnieli, że jej, na motywach arcydzieła Andersena napisane „Brzydkie kaczątka”, to „Brzydkie kaczątka”, które Andersen właśnie teraz pisze za białymi drzwiami opowieści. Tutaj, dzieci miłe i starszuskowie zażywni, nie ma i nie będzie żadnych cudów na kiju. Tu jest tylko nad kartką pochylona głowa i chrobot pióra stawiającego litery. To jest i niczego więcej nie będzie. Tylko jawne zmyślenie.

Żadnych więc, dzieci miłe i zażywni starszuskowie, wybuchów, reflektorów barwnych napastliwie tak, jak ogon pawia, żadnych monstrualności, żadnych spektakularnych kształtów lalek, ergo – żadnych rozdymanych baroków. Jedyne, co wybuchnie, co musi wybuchnąć, to wasze wyobraźnie. Muszą wybuchnąć, bo my dajemy mało, posornie bardzo mało – kilka barw, trochę drewna, garść bibuły...

Tak, dają cudownie mało. Kaczki, co się dopiero wykluły, to złote rękawiczki na rękach aktorów i same tylko łebki z czerwonymi dziobami nabite na dłonie. Kury, indory i inne koty – nic, tylko zwiewne chusty w charakterze tułowia, baniaste głowy, co charakter mają wymalowany jedną, trzema nieomylnymi ruchami flamastra, no i niezawodne kosze, które zza drzwi opowieści wciąż się wysuwają, przynosząc nowe zdania, nowe przegrody, nowych bohaterów, choćby właśnie kury, indory i inne koty. Wreszcie – sam główny Brzydk!

Wszelkie proporcje zachowuję i powiadam: Tadeusz Kantor w zwierzęcą zadość by się stoczył, gdyby zobaczył, jakiemu to stworowi mechanicznemu Pawlak kazał wyleźć z wielkiego, szarego jaja. Ani cienia podobizny do nieopierzonych pokrak, co pływają po Wiśle. Brzydki Pawlaka i Pejcz to ta koszmarna zabawka z drewna i na żelaznych kółkach, która, jak jej kijek w zad wsadzisz i po chodniku pchasz – jazgotem żelaznych kółek i klekotem skrzydeł z desek nie ludzki łomot czyni. Bezlitosna deziluzja. Pyszna realność iluzji.

Piękne są Pejcz i Pawlaka rezygnacje z teatralnego baroku. Znakomite są ich zejścia na dno metafor, znaków, przenośni. Nade wszystko są to rezygnacje i zejścia – czyste w swym wyrazie. Czyście i szybkie niczym pstryknięcie albo udana epifania. Opisywanie pstryknięć nie ma sensu. Jedno wszakże powiem. Zacytuję frazę, której nie przytaczałem od dawna. Otóż, filozof uczy: teatr to miejsce, gdzie iluzja realności zmienia się w realność iluzji. „Brzydkie kaczątka” Pejcz jest właśnie w tym miejscu. Całe.

Zaczyna się od drzwi opowieści, co same z siebie się otwierają, a kończy łopotem napisanych skrzydeł. Pomiedzy – baśń, która dzieli się z dziećmi i starcami swą znakomicie kłamliwą naturą, bo Pejcz dobrze czuje, że nie tak nie kompromituje sztuki jak prawda najprawdziwsza, kubłem z życia wzięta. Kto wie, może tylko tak – niakłaniając swą wyobraźnię do wybuchów na kanwie teatralnych metafor jedynie na pozór prostych i jakby nieudanych – pięcio-, siedmioletnie wrażliwości naprawdę sensownie dotykają etyki Andersena? Może do sedna świata najuczciwiej jest trafić idąc przez jawne zmyślenie?

Teatr Groteska. Beata Pejcz „Brzydkie kaczątka” wg H.Ch. Andersena. Reżyseria i choreografia Beata Pejcz. Scenografia Paweł Pawlak. Muzyka Krzysztof Dzierma.